

Marcin Kępiński
Uniwersytet Łódzki
Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej

Żniwa – święty czas pracy. Malarstwo i pamięć dzieciństwa

*Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?*
(Jan Kochanowski, *Pieśń świętojańska o Sobótce*)

Lato każdego roku mojego dzieciństwa spędzałem na wsi, w gospodarstwie rodziców mojego ojca, profesora Mariana Kępińskiego. Pierwszy raz rodzice zawieźli mnie do dziadków, kiedy miałem zaledwie dziesięć miesięcy. Jednak pamięcią sięgam w czas dużo późniejszy. Byłem dzieckiem miasta, wychowanym w Piotrkowie Trybunalskim, i wieś była dla mnie nowym, niezwykłym doświadczeniem. Słońce, ciepło, światło, przestrzeń, złoto zbóż, zieleń lasu, barwy owoców na gałęziach krzewów i drzew, głosy zwierząt w obejściu gospodarstwa. To był dla mnie świat żywy, baśń rozgrywająca się każdego dnia w prawdziwej rzeczywistości. W porównaniu z nią, miejski świat był nudny i sztuczny, zamknięty murami domów i pocięty liniami ulic wypełnionych hałasem.

Rozległa przestrzeń pól, dająca poczucie wolności, wędrówka miedzami pośród kołyszących się łąnów zboża i pieśń skowronka, niczym znaki odwiecznej świętości świata natury wznoszące się ku błękitowi nieba. Ogromne połacie zielonego lasu, przechodzącego w ciemność ścieżek ukrytych między gęstymi zaroślami i wysokimi drzewami, przesycone zapachem sosnowej żywicy, spływającej bursztynem po korze. Liście dębów, osik i brzoź, delikatnie filtrujące słoneczne promienie, biegnące w dół, ku paprociom i trawie szepczącej cichym głosem. Stary las mówił. Jeśli się wsłuchało w ten cichy głos, przekazywał opowieść o minionych czasach, porach roku następujących jedna po drugiej w nieubłaganym rytmie przyrody, życiu i śmierci, o zwierzętach mieszkających w jego wnętrzu. Można było usłyszeć ich głosy, a nawet spotkać rano lub pod wieczór. Las mówił o wojnie, głośnych wystrzałach, obławach i walce. Ukazywał widzącym tajemnicze resztki okopów i ziemianek, pozostałości po wybuchach i pożarach. Podobno w okolicy były zakopane skarby, broń i amunicja, a przynajmniej dzieci chciały w to wierzyć.

Zające, lisy, dziki, sarny i inna leśna brać mieszkaly głęboko w borze. Mimo istnienia człowieka żyły tak, jak zawsze, chroniąc się przed ludzką obecnością w otchłani leśnego morza. W porównaniu z nimi, zwierzęta gospodarskie nie były tak niezwykle ani tajemnicze. Co prawda, konie zdawały się rozumieć mowę dziadka, będąc posłuszne każdemu jego słowu i gestowi. Nawet narowisty ogier Kuba pokorniał wobec gospodarza, idąc za nim niczym wierny pies. Babcia i dziadek ciężko pracowali od świtu do nocy, nigdy nie narzekając ani się nie skarżąc. Z ufnością akceptowali swój los, nawet nie wyobrażając sobie innego życia, niż to, które wiedli, bliskie ziemi i przyrody. Cóż mogło być ważniejszego od gospodarstwa?

O ile babcia była samym ciepłem i życzliwością, chętnie rozmawiając z wnukami i karmiąc je smakołykami, o tyle dziadek surowością i milczeniem wzbudzał szacunek. Było w nim coś, co sprawiało, że doskonale pasował do swego miejsca w świecie, będąc bliski archetypowi polskiego chłopca widocznemu na płótnach malarskich i kartach literatury. W wolnych chwilach, a tych nie było wiele, czytał książki i encyklopedie. Jedną z jego ulubionych powieści byli *Chłopi* Reymonta.

Nadchodził czas, kiedy dziadek nie tracąc niczego ze swej surowości i powagi, stawał się radosny, wesoło uśmiechając się do domowników, zagadując do wszystkich, a nawet pozwalając sobie na żarty. To były żniwa, pora zbierania plonów, którymi ziemia odwdzięczała się za opiekę i staranną pracę. Urodzajne żniwa były dla niego dowodem słuszności drogi życiowej, wybranej i wypełnianej w ten sam sposób, nieustępliwie, z cierpliwością i oddaniem, jak czyniły to pokolenia jego przodków. Chleb był dla dziadka i babci prawdziwie świętym owocem ziemi, okupionym znojnym wysiłkiem orki, siejby i żniwa. „Bez pracy polskiego chłopca nie byłoby Polski”, twierdził z przekonaniem dziadek.

Rodzice mojego ojca, Marianna i Adam Kępińscy, posiadali ziemię we wsi Kamionka oraz, wniesiony przez babcię w posagu, zagon we wsi Marynin w Lubelskiem.

Mój ojciec, młody artysta malarz tuż po studiach, asystent w ówczesnej łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych i matka, jeszcze studiująca, mieszkali w akademikach. Wyjeżdżając na wiejskie wakacje, zabierali mnie ze sobą. Nie tylko odpoczywali od „miejskiej cieśni”, ale byli pomocni w polu podczas żniw.

Dziadek Adam nie ukrywał żalu, że jedyny syn nie chce objąć majątku i wyraźnie lekceważył jego twórcze dokonania. Miał pretensje, że obrał on drogę życia bez posiadania ziemi, nie gwarantującą zasobnego powodzenia i daleką od prawdziwej, znaczącej egzystencji, na jaką pozwalała gospodarka.

Na początku lat 70. XX w. dziadek kupił snopowiązałkę, którą ciągnął koń. Idąc za wprowadzaną przez socjalistyczne państwo ideą mechanizacji rolnictwa, pod koniec epoki gierkowskiej nabył także traktor. Trudno jednak było zarówno o sznurek do snopowiązałki jak i paliwo. Wobec „prześciowych trudności” na rynku, praca najczęściej nie była zmechanizowana i odbywała się metodami tradycyjnymi.

Jeśli pogoda dopisywała, zwykle w drugiej połowie lipca zaczynały się żniwa. Tylko dziadek wiedział, kiedy ziarno jest odpowiednio twarde i gotowe do zbioru. Jeśli dało się przełamać je przez paznokiec, a słoma była krucha, znaczyło, że można żąć. Pierwsze kłosy dziadek ścinał w sobotę, czyniąc przy tym znak krzyża. Choć nie był zbyt religijny, zachował część starych obyczajów i przywiązanie do ludowych tradycji. Za czasów młodości dziadka już wszyscy gospodarze kosili kosą, co znacznie przyspieszyło proces zbiorów.

W kulturze ludowej żniwa były najważniejszą pracą gospodarską w ciągu roku, decydującą o ludzkiej egzystencji: „Żniwa, będące czasem wytężonej pracy i największej troski o plony, miały swój porządek, zwyczajowy harmonogram i uświęcone tradycją zwyczaje i obrzędy. Obrzędowy charakter miał zwłaszcza początek żniw. Rozpoczynano je zawsze z imieniem Bożym, najczęściej w sobotę (dzień Matki Boskiej). Świącono sierpy i kosy, modlono się, żegnano pole znakiem krzyża i składano na krzyż pierwsze ucięte kłosy. [...] Znaczenie obrzędowe przypisywano ostatniej kępce zboża, zwanej przepiórką i pozostawianej na polu najczęściej do pierwszej orki jesiennej. Wierzano, że znajdują się w niej siły decydujące o wzroście zboża”¹.

Dziadek budził nas wcześniej rano. On sam zawsze wstawał przed wszystkimi równo o letnim świcie, około godziny czwartej. Babcia również. Poila i wyprowadzała na pastwisko zwierzęta, gotowała zupę, którą mieliśmy zjeść po powrocie z pola, robiła śniadanie. Po pierwszym posiłku następowały przygotowania do wyjazdu. Dziadek poił i zaprzęgał do drewnianego wozu konia, a babcia w gliniane dwojaki, jakie wyrabiał garncarz w niedalekim Pawłowie, zabierała zsiadłe mleko i ziemniaki. Chleb zawijała w białą, lnianą ściereczkę. Zimną, krystalicznie czystą wodę ze studni wlewała do metalowej kanki, składała równo biały obrus, po czym pakowała to wszystko do koszyków uplecionych z wikliny. Kiedy my ładowaliśmy się na wóz, a właściwie na zaimprovizowane z desek siedzenia, dziadek szedł po obrok dla konia, następnie po kosę, babcia po sierp. Te ważne narzędzia stałe wisiały wysoko na wewnętrznym obramieniu drzwi do stodoły. Dziadek powoził. Nigdy nie dał powozić mojemu ojcu, który siedział z nami z tyłu, za kozłem, gdzie obok dziadka jechała babcia. Koń, jeszcze nie zmęczony, ciągnął wóz ochoczo, dość szybka jazda była bardzo przyjemna i radosna. Przybywaliśmy na pole rankiem, kiedy słońce mocno już grzało, nie pozostawiwszy na zbożu nawet śladu rosy. Rozładunek pasażerów, zabranych przedmiotów, napojów i jadła należał do babci. Koń stał uwiązany do pnia drzewa w jego cieniu, a obok pusty wóz.

Na dobre żniwa zaczynała babcia. Cięła sierpem zboże wprawnymi, półkolistymi ruchami ręki. Z pierwszej jego garści dziadek skręcał powrósło. Następnie oddawał je babci, brał kosę i szybkimi, zamaszystymi ruchami żął, idąc coraz dalej w głąb łąnu.

W kulturze ludowej „Praca sierpem stanowi zaszczytny przywilej kobiet. [...] Każdy ruch celowy, oszczędny jest owocem wielowiekowego doświadcze-

¹ B. Ogrodowska, *Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce*, wyd. II, „Verbinum” Wydawnictwo Księży Werbistów, Warszawa 2001, s. 287.

nia, nabiera cech prawie liturgicznych. [...] Słońce praży, powietrze dygoce z upału, pot ścieka po twarzach na ziemię, świerszcze grają. [...] Stawianie snopów w kopki, kopy, mendle, zwożenie ich – to męska zabawa. Żniwiarki kończą swą pracę, przejawiając niecierpliwość. Bo dożynają już ostatnie pole, na którym ma zostać »przepiórka«². Dziadek nikomu nie pozwalał wziąć do ręki kosy, sam zaś po mistrzowsku opanował posługiwanie się tym narzędziem. Idąc w głąb pola za pokosem, pozostawiał po sobie idealnie równe ściernisko.

Babcia układała garście zboża na powrośle, przyciskała kolanem i jednym gestem wiązała je, tworząc pojedynczy snopek. Nauczyła tych czynności moją matkę. Żniwa trwały w najlepsze, każdy pracował, nie zważając na upał.

Na miedzy babcia rozkładała niewielki obrus. Na nim stawiała koszyki z jedzeniem. Każdy z nas mógł się napić i posilić, kiedy poczuł pragnienie czy głód. Ojciec robił powrośla, ustawiał snopki w duże kopy. Reszta rodziny musiała się dobrze śpieszyć, by nadążyć za rytmicznie, płynnie i szybko machającym kosą dziadkiem. To on wyznaczał rytm pracy i jej przewodził. On pamiętał o konieczności odpoczynku. Miał najwięcej sił, więc liczył się z ograniczeniami słabszych od siebie żniwiarzy. Krótkie przerwy w pracy wypełniało jedzenie, picie i doglądanie konia. Babcia, ojciec i matka co jakiś czas prostowali grzbieity, przystając na chwilę, po czym znów brali się do roboty.

Dziadek tnąc zboże kosą, okrążał pole, aż dochodził do środka. Zostawiał na nim małą kępkę kłosów. Babcia splatała kłosy w warkocze, wiązała je, pozostawiając pod nimi kamień, a na nim na białym płótnie kawałek chleba. Pytana, dlaczego to robi, tłumaczyła, że tak właśnie trzeba, inaczej obrazi się ziemię, z której wyrosło zboże i w przyszłym roku nie będzie obfitego plonu. Nazywała ją „brodą”. Na Mazowszu i Podlasiu kilka ostatnich kłosów zboża nazywano „przepiórka”. „Przepiórka (w niektórych stronach Polski zwą ją pępkiem, chrzępkim albo zarzynkiem) – to kępka zboża zostawiona pośrodku pola, zwykle na górce, by była z dala widoczna. [...] Najstarsze kobiety dzielą kłosy na trzy części i z każdej splatają warkocz. Trzy warkocze związują w górce tuż przy kłosach czerwoną tasiemką. Pod utworzone w ten sposób sklepienie kładą płaski kamyk, na kamieniu czyste płótno, na płótnie bocheneczek chleba. To obiata dla skrzatów, nagroda za dopilnowanie zbiorów»³. Snop związany z pozostawionych kosów, ozdabiany kwiatami na Lubelszczyźnie „nosił [...] miano brody, a pozostawiano go myszom i ptactwu, wierząc, że po takim poczęstunku nie będą niszczyły ziarna”⁴.

Kończył się dzień. Ustawione w snopy kłosami do góry zżęte zboże miało czekać na zwózkę. Wracaliśmy do domu. Następnego dnia, i następnego, było tak samo. Ta sama znojna praca do momentu, aż poza „przepiórka” na rżysku stały liczne kopy w równych rytmach rzędów. Z pola zbierano nawet pojedyncze kłosy, żeby nic się nie zmarnowało, byłoby to ciężkim grzechem wobec

² Z. Kossak, *Rok polski. Obyczaj i wiara*, PAX, Warszawa 1956, s. 115–116.

³ Tamże, s. 116.

⁴ U. Janicka-Krzywda, *Zwyczaje. Tradycje. Obrzędy*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2013, s. 100.

ziemi i Boga. Kiedy dziadek zdecydował, że można zwozić, zaczynała się zwózka. Podjeżdżał koniem z wozem jak najbliższej kopy. Ojciec brał snopki na widły, podnosił do góry, podawał dziadkowi, a on układał je na wozie. Kiedy ojciec się zmęczył, przez krótki czas zastępowała go babcia. Dziadek wydawał się niezmordowany. Nie przerywał pracy. Mojej matce pozwalano w pobliże wozu przynosić snopki z dalszej kopy. Wozem, wysoko załadowanym zbożem, dziadek jechał do domu, a my szliśmy pieszo. Gdy wchodziliśmy na podwórze, dziadek już rozładowywał wóz, wprowadzony wraz z koniem na klepisko. Stał na szczycie ułożonego zboża i nabierając kolejne snopki na widły, rzucał je na sąsiedki. Babcia i ojciec porządkowali ułożenie snopków, których warstwy na zapolu rosły aż po dach stodoły. Podczas zwózki, zwłaszcza pierwszej fury, nie wolno było rozmawiać, żeby myszy nie usłyszały i nie weszły do stodoły. Zboże układano na zapolu bardzo ściśle, snopek obok snopka, co również miało stanowić zabezpieczenie przez myszami. Babcia nie chroniła zboża od burzy gałązką brzożową odłamaną z ołtarza przygotowanego na Boże Ciało (stodoła miała piorunochron), a dziadek nie przechowywał do Wigilii Bożego Narodzenia pierwszego snopka zboża (nie stawiano go w kącie domu na Wigilię). Ani babcia, ani dziadek nie wierzyli też, że w czasie żniw w polu nogą działać demoniczne, nadprzyrodzone moce (w południe wolno było sięść czy położyć się na miedzy dla krótkiego odpoczynku, żadna południca już tamtędy nie chodziła)⁵. Nie ubierali na tę porę odświętnych strojów, ale możliwie wygodne do ciężkiej pracy. Nie śpiewali żadnych piosenek, oszczędzając siły na pracę.

A jednak oboje zachowali do zboża, jak i żniw, stosunek nacechowany szacunkiem i troską o staranne wypełnienie właściwych czynności, który przekazali im ich rodzice. W czasie żniw nie wolno było się kłócić, ani tym bardziej przeklinać, aby nie obrażać urodzaju i samej ziemi. Zarówno dziadek, jak i babcia wierzyli, że żniwa są pracą kończącą całoroczny trud i powtórzą się w przyszłym roku zgodnie z odwiecznym rytmem natury.

Mimo zmęczenia, dziadek i babcia byli szczęśliwi; zwłaszcza dziadek, którego cieszyły dobre plony. W żniwnym powodzeniu widział znak wdzięczności swej ziemi, a w sobie dobrego gospodarza. Dla dziadka praca na roli była tym właściwym i jedynie wartościowym rodzajem pracy, a jej plon decydował o prawdziwym dostatku. Dziadek Adam nie potrafił sobie wyobrazić bogatszego i piękniejszego życia. Bogactwem chłopa była w końcu sama ziemia, a cóż mogło być piękniejszego od udanych żniw? Ich opis w ulubionej powieści dziadka niezbyt się różnił od tych na Kamionce: „skoro jeno słońce wyniesło się na parę chłopa, to jakby zmówieni wszyscy zaczęli wychodzić do żniwa, że ano z każdej chałupy ruszali całą gromadą, z każdej chałupy błyskały sierpy i kosy, z każdego obejścia wytaczały się wozy na miedze i polne drożyny.

⁵ Zob.: J. Adamowski, *Żniwa i dożynki na obszarze województwa chełmskiego*, „Twórczość Ludowa” 1996, nr 3; tenże, *Praktyki, zwyczaje i wierzenia żniwne w przekazach mieszkańców zachodniej Lubelszczyzny*, „Twórczość Ludowa” 1994, nr 1–2; O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 33, *Chełmskie*, cz. I, Polskie Towarzystwo Muzyczne, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Kraków–Warszawa 1964.

[...] Wielka, uroczysta cichość przejęła żniwne pola, zrobiło się jakby święte nabożeństwo znoonej, nieustannej i owocnej pracy. [...] Że już na wszystkich polach, jak jeno można było sięgnąć okiem, w straszliwym skwarze wśród zbóż złotawych, w rozmigotanym i ślepiącym powietrzu, od świtu do późnego wieczora połyskiwały sierpy i kosy, bieleły koszule, czerwieniały wełniaki, gmerali się niestrudzenie ludzie i szła cicha, wyteżona robota i nikto się już nie lenił, na somsiadów nie oglądał, o niczym drugim nie myślał, a jeno, przygięty nad zagonem kiej wół, w pocie czoła pracował. [...] albowiem te żniwne dni toczyły się już kiej koła rozmigotane złocistymi szprychami słońca i przechodziły jedne za drugimi, a coraz szybciej, i zarówno znojne i zarówno ciężkim a radosnym trudom oddane. [...] Że już bez przerwy toczyły się ciężkie, nastroszone wozy; toczyły się ze wszystkich pól, wszystkimi drożynami i do wszystkich na ścieżaj powywieranych stodół jakoby sypkim złotem nabrane fale rozlały się po drogach, podwórcach i klepiskach, [...]. Skończył się bowiem przednówek, stodoły były pełne, zboże sypało niezgorzej, i każdego, choćby najbiedniejszy, hardo podnosił głowę, z dufnością patrzył w jutro i roił se jakoweś z dawien dawna upragnione szczęśliwości”⁶.

I tak mijały najgorętsze dni lata... Wreszcie na polu, już pustym, dziadek robił podorywki i siał seradellę – pastewną roślinę na pokarm dla bydła. Orał kolejne pole pod jesienny siew dla oziminy. Kończyło się lato i trzeba było wyjeżdżać z powrotem do miasta.

Tęsknota do stron rodzinnych wpływała na twórczość mojego ojca oraz jego zainteresowania malarstwem polskim o tematyce rustykalnej. A ja, marząc o lecie na wsi, przeglądałem księgi kolorowych albumów, wpatrując się w widoczne na nich obrazy. Lubilem zwłaszcza dzieła Włodzimierza Tetmajera, artysty z krakowskiej grupy chłopomanów, działacza ludowego przełomu XIX/XX w.

Włodzimierz Tetmajer, gospodarz z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, po ślubie z chłopką Jadwigą Mikołajczykówną, na stałe, od 1895 r. zamieszkał w podkrakowskich Bronowicach. Najczęstszym tematem jego prac były sceny z życia tej właśnie wsi, jej mieszkańcy, krajobrazy i okolice. Niezwykle barwne obrazy, z silnymi akcentami czerwieni, żółci, błękitu i zieleni, nasycone światłem, namalowane lekko, by zatrzymać w nich ruch i dotknąć upływającego czasu. Pełne dynamiki płótna, tworzone w sposób nawiązujący do zdobyczy impresjonizmu, oddają niepowtarzalnie swoistą urodę polskiej wsi, wyrażając podziw i mitologizując jej moc i piękno. Mimo że byłem wrażliwy na sztukę przedstawiającą, to jednak zawsze wolałem życie, a nie choćby najdoskonalsze jego odwzorowanie. Rozumiałem tych, którzy literaturę traktowali jako córkę mitologii, a sztukę nie poszukującą wartości jako niedoskonałe, żłudne odwzorowanie rzeczywistości⁷. Jednak obrazy o tematyce wiejskiej pozwalały mi

⁶ W.S. Reymont, *Chłopi*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002, s. 647–648.

⁷ Zob.: M. Eliade, *Aspekty mitu*, tłum. P. Mrówczyński, Wydawnictwo KR, Warszawa 1989, s. 198; tegoż, *Próba labiryntu. Rozmowy z Claude-Henri Rocqetem*, tłum. K. Środa, Wydawnictwo KR, Warszawa 1992, s. 181, 404.

łatwiej przywołać z pamięci przeżyte wiejskie lato. Być może, jak twierdził Eliade, w każdym z nas tkwi skłonność człowieka symbolicznego do myślenia obrazami. Być może każdy z nas, wiodąc nawet najbardziej nieduchowną i zwyczajną egzystencję, tęskni do *sacrum* i poszukuje symboli, za pomocą których ono się nam objawia⁸. Również i to sprawia, że malarskim dziełom Włodzimierza Tetmajera o tematyce wiejskiej, przedstawiającym żniwa, warto poświęcić chwilę uwagi.

Krajobraz z dziewczynką przedstawia pełną zieloną drogę z piaszczystymi koleinami, którą idzie mała wiejska bosa dziewczynka odziana w czerwoną sukienkę, z błękitną chusteczką zawiązaną z tyłu głowy. Ostre akcenty czerwieni i błękitu kontrastują ze złotawobrazowawą kolorystyką dojrzałego ładu zboża, tuż przed żniwami, pochylającego ciężkie kłosa ku ziemi. Horyzont tworzy głęboka przestrzeń szarobłękitnego nieba.

Dzieło *Żniwiarka w polu* z 1901 r. ukazuje ścinanie przez kobiety złocącego się w słońcu zboża. Na pierwszym planie, z prawej strony obrazu, tyłem do widza, siedzi pozostawione przez matkę dziecko. Dziewczynka, ubrana w czerwony kaftanik i czerwoną czapkę przetykaną białymi naszytami, patrzy w kierunku młodej kobiety nadchodzącej miedzą pomiędzy zagonami. W centrum obrazu, pochylona lekko w stronę lewej ręki, którą podbiera zboże, spogląda na dziecko silnie zbudowana kobieta w białej bluzce, różowawej spódnicy, czerwonej chuście, trzymająca w prawej dłoni sierp. Przed żniwiarką ścielą się na ziemi ścięte pęki żyta, obok zaś leży naczynie na wodę, oparte o pozostawione ubranie. Przerwała na chwilę pracę, by baczną uwagę poświęcić dziecku, do którego zdaje się coś mówić. Za kobietą pracują cztery inne żniwiarki. Jednej z nich, głęboko zgiętej ku ziemi, towarzyszy przyglądająca się jej pracy dziewczynka. Szarobłękitne niebo wyłącza się barwami dojrzałego zboża i południa słonecznego dnia lata.

Obraz *Żniwa* z 1902 r. utrzymany jest w innym nasyceniu tej samej tonacji barw. Scena figuralna rozgrywa się późnym popołudniem, kiedy upalny, letni dzień idzie ku zachodowi, a słońce mieni przestworza blaskiem złota nasyconego czerwienią. Po obu stronach obrazu uwidocznione jest leżące ścięte zboże. W lewym górnym rogu odzwierciedlona została praca grupy żeńców, wśród której najważniejsze miejsce zajmuje mężczyzna skręcający powrósł. Centrum obrazu wypełnia niezżęty jeszcze łąn. Na jego tle, na zieleniejącym rzysku stoi ubrana w lniane białe szaty kobieta tuląca najmłodsze dziecko. „Nadszedł więc szczęśliwy dzień, gdy kłosa zbielałe proszą się o sierp lub kosę. [...] ludność przywdziewa na żniwa nowe obleczenie”⁹. Czerwień jej chusty i ubranka malarstwa kontrastują z bielą i ze światłem padającym na kłosa. Obok, na rozścielonej czerwonej płachcie, siedzą dwie małe jasnowłose dziewczynki. Jedna z nich, w czerwonej sukience, posila się strawą czerpaną łyżką z glinianego naczynia. Druga, obok pustego koszyka, odwrócona wpatruje się w roztaczającą

⁸ Zob.: tegoż, *Sacrum, mit, historia: wybór esejów*, tłum. A. Tatarkiewicz, Wydawnictwo KR, Warszawa 1993, s. 29.

⁹ Z. Kossak, *dz. cyt.*, s. 115.

się przed nią niwę albo też w widoczne w oddaleniu korony drzew i dachy wiejskich zabudowań. Dzień znoonej pracy ma się ku końcowi, wkrótce nadejdzie pora powrotu do domu.

Kobiety z sierpami podczas pracy w polu zobrazował również artysta na płótnie *Żniwa* z 1911 r. Centrum sceny figuralnej zajmuje wizerunek wyprostowanej żniwiarki usiłującej pod słońce dojrzeć coś, co się dzieje na wprost niej. Stoi pomiędzy leżącymi na ziemi garściami już zżętego zboża a łanem jeszcze nieściętego. Prawą rękę z sierpem w dłoni uniosła nad czoło, osłaniając się przedramieniem przed rażącym światłem słońca, lewą zaś wsparła o biodro. Jej twarz sugeruje jakieś skupienie, widoczne jednak nie dość wyraźnie, lecz wystarczająco, by sądzić, że nie jest to jedynie moment zwykłego odpoczynku i wytarcia potu z czoła. Biel i czerwień jej ubioru, a nawet żółty kolor chustki wydobywają jej postać z tła przestrzeni pola. Za nią znajduje się pochylona kobieta, ścinająca zboże oraz dwie inne, zajęte chwilową rozmową, a pomiędzy nimi dorastająca dziewczynka z płachtą na plecach, w której dźwiga niemowlę. Na horyzoncie widać wysokie kopy ustawione ze snopków, ciemną zielen drzew, błękit nieba i szarawą biel lekkich, letnich obłoków.

Obraz zatytułowany *Odpoczynek żniwiarzy* przedstawia na tle lasu liczną, barwną grupę postaci, wśród której przeważają kobiety rozsiadłe na łące; jedna z wielu odpoczywa leżąc, inna z nich stojąc, i wzięwszy się pod boki, wiedzie żartobliwy dialog z mężczyzną w sukmanie trzymającym w dłoni kosę opartą drzewcem o ziemię. Niektóre żniwiarki zajmują się dziećmi, inne rozmawiają, są rozbawione, jeszcze inne zamyślane. Wyrazistość postaci podkreśla światło słoneczne układające się na bryłach sylwetek ludzkich, zieleni traw, smugami prześwitujące w leśnej gęstwie. Zauważmy, że na większości obrazów o tematyce żniwnej, artysta portretuje grupy mieszkańców wsi, wspólnie pracujących przy zbiorze plonów: „Tetmajer zwraca głównie uwagę na indywidualność ludu. Ze szczerym spojrzeniem malarskiego oka podporządkowuje on ludzi wyrazowi natury, jednostkę wyrazowi gromady”¹⁰. W wiejskich pejzażach, szczególnie tych obrazujących pracę w polu, artysta umiejętnie odtworzył pełnię nastroju harmonii natury i człowieka, celowości trudu i piękna chłopskiego życia, którego symbolicznym apogeum jest pora żniw: „Życie wiejskie toczy się z natury rzeczy w polach. Dlatego wiele scen rodzajowych przenosi się na zewnątrz. [...] W scenach prac polowych potrafił perfekcyjnie połączyć swoje talenty kolorysty, pejzażysty z umiejętnością wkomponowania w nie postaci ludzkich i oddania ich charakteru i uczuć. [...] Obok doskonałego rysunku w pejzażach Tetmajera uderza doskonała, wręcz mistrzowska kolorystyka”¹¹. Włodzimierz Tetmajer w tych obrazach nie ogranicza się ani do samego pejzażu, ani do ich treści narracyjnych. Szczególnie ważne miejsce poświęca wiejskiej kobiecie –

¹⁰ J. Dużyk, *Sława, Panie Włodzimierzu. Opowieść o Włodzimierzu Tetmajerze*, Wydawnictwo „Czuwajmy”, Kraków 1998, s. 165.

¹¹ J.A. Nowobilski, *Włodzimierz Tetmajer (1861–1923)*, Wydawnictwo „Czuwajmy”, Kraków 1998, s. 46, 47.

matce, wywiązującej się równocześnie z obowiązków macierzyństwa i pracy dla rodziny. Większość postaci pracujących w polu i żniwiarzy to właśnie kobiety.

Wiejskie pejzaże Tetmajera do dziś przypominają mi atmosferę upalnych żniw na Maryninie i Kamionce. Żadne ze znanych mi obrazów przedstawiających polską wieś i chłopów nie oczarowały mnie tak silnie, jak właśnie te, wprost bijące letnim żarem, przesywające łśnieniami słonecznego blasku, upajające kolorami, dojmujące nastrojem cudowności prostego życia najbliższego naturze. Malarski geniusz Włodzimierza Tetmajera, umiejętnie przelewającego na płótno autentyczne uczucia wobec wsi i jej mieszkańców sprawiły, że widziałem w obrazach artysty nie tylko konkretną rzeczywistość, ale przede wszystkim mityczną tęsknotę za harmonią natury i chęć zrozumienia istoty życia. Czyż nie są to pragnienia nie tylko wielkich artystów malarzy, ale i wielu innych ludzi?

The harvest – saint working hours. The painting and the memory of the childhood

The article is an attempt of analysis of Włodzimierz Tetmajer's chosen works concerning the harvest. I am also describing images of the harvest on the Polish village of Kamionka, being in surroundings of Chełm, which I remembered from the childhood. I am appealing to reality of the myth of the happy village, current in Polish painting and literature. I am taking it back to observed remains of folk customs and the traditions bond with the harvest.